Cykl SIGMA FORCE

JAMES ROLLINS

OSTATNIA WYROCZNIA

Rok 398
Góra Parnas, Grecja

Przyszli, by ją zabić.

Stała na stopniach prowadzących do świątyni. Drżała pod cienką szatą z białego lnu okręconą wokół talii, ale to nie chłód nadchodzącego poranka przenikał jej ciało.

Poniżej, po stoku Parnasu, niczym rzeka ognia, płynęła procesja pochodni. Wspinała się serpentynami wyłożonego kamieniem Świętego Traktu w kierunku świątyni Apollina. Marszowi towarzyszyły uderzenia mieczy o tarcze pięciuset rzymskich legionistów. Droga wiła się, omijając powalone posągi i dawno ograbione skarby przeszłości. Żołnierze podkładali ogień pod wszystko, co jeszcze dało się spalić.

Przedzierający się przez ruiny blask pożogi tworzył migocącą iluzję lepszych czasów, jakby nagle odrestaurowany ognisty obraz minionej świetności: dawne bogactwo iskrzyło się złotem i srebrem, zastępy posągów wyrzeźbionych przez najznamienitszych artystów, tłumy ludzi zbierające się, by wysłuchać proroctw wyroczni.

Nadchodził ostateczny koniec.

Przez cały miniony wiek Delfy były nękane i rujnowane napadami Galów, plądrowane przez Traków, ale najbardziej dawały im się we znaki zwykłe zaniedbanie i zapomnienie. Niewielu ludzi docierało tu, by wysłuchać wyroczni: czasem pojawiał się pasterz chcący

dowiedzieć się, czy zdradza go żona, albo żeglarz szukający potwierdzenia dobrych omenów przed rejsem po Zatoce Korynckiej.

Nadchodził koniec dziejów; koniec wyroczni delfickiej. Po przepowiadaniu przyszłości przez trzydzieści lat ona właśnie będzie ostatnią kobietą noszącą imię Pytia.

Ostatnie chwile wyroczni z Delf.

Z tą wiedzą spadło na nią ostatnie wielkie wyzwanie.

Pytia odwróciła się na wschód, gdzie nieboskłon zaczynał się powoli rozświetlać.

Och, moja różanopalca bogini jutrzenki Eos spieszy, by Apollo okulbaczył cztery rumaki do swojego rydwanu Słońca, pomyślała.

Jedna z sióstr Pytii, młoda akolitka, wyszła ze świątyni i stanęła za jej plecami.

– Uchodź z nami, pani – próbowała ją ubłagać. – Jeszcze nie jest za późno. Nadal możemy uciec z pozostałymi do wysokich jaskiń.

Pytia położyła dłoń na jej ramieniu. Nocą reszta kobiet wyniosła się już do niedostępnych jaskiń Dionizosa, dających im bezpieczne schronienie. Jednak Pytia miała do wypełnienia swoje ostatnie posłanie.

– Pani, nie ma już czasu na ostatnie proroctwo.

– Ale ja muszę.

– Zatem niech to odbędzie się teraz, zanim będzie za późno.

– Muszę poczekać na świt siódmego dnia. To nasza powinność.

Gdy słońce zachodziło poprzedniego wieczoru, rozpoczęła już ostatnie przygotowania. Wzięła kąpiel w srebrzystym źródełku Kastylii, napiła się ze źródła Kassotis i spaliła liście wawrzynu na ołtarzu z czarnego marmuru na zewnątrz świątyni. Postąpiła dokładnie według ustalonego rytuału, tak samo jak pierwsza Pytia tysiące lat wcześniej.

Tylko że tym razem wyrocznia nie była sama podczas oczyszczania.

Razem z nią w rytualnych ablucjach udział wzięła dziewczynka mająca zaledwie dwanaście wiosen.

Takie młode stworzenie, a taka silna osobowość.

Dziewczynka stała nago w wodzie źródełka, gdy starsza od niej

kobieta obmywała ją i namaszczała olejkami. Nie wyrzekła nawet słowa, stała jedynie z wyciągniętą ręką, prostując i zaciskając palce dłoni, jakby chciała uchwycić coś, co tylko ona mogła zobaczyć. Któryż to bóg skłonił ją do cierpienia, a jednocześnie obdarował taką mocą? Z pewnością nie był to tylko Apollo. Bo słowa wypowiedziane przez dziewczynkę trzydzieści dni wcześniej mogły pochodzić tylko od bogów. To były słowa, które przemieniły się w ognie pełznące teraz w stronę Delf.

Och, że też to dziewczę tutaj trafiło.

Pytia była nawet zadowolona, że Delfy pogrążały się w zapomnieniu. Pamiętała o porażającej przepowiedni wypowiedzianej wieki wcześniej przez jedną z jej poprzedniczek.

Cesarz August zapytał onegdaj jej dawno nieżyjącą siostrę:

– Dlaczego wyrocznia tak ostatnio ucichła?

– Hebrajski chłopiec, Bóg, który będzie rządzić wśród sprawiedliwych, nakazuje mi opuścić to miejsce…

Te słowa okazały się prawdziwą przepowiednią. Wiara w Chrystusa ogarnęła całe imperium i zniszczyła wszelkie nadzieje na powrót dawnych, dobrych czasów.

Mniej więcej przed miesiącem do progów świątyni przyprowadzono tę dziwną dziewczynkę.

Pytia odwróciła się od morza płomieni w stronę adytonu, sanktuarium świątyni Apollina. Dziewczynka już czekała w środku.

Była sierotą, pochodziła z odległego miasta Chios. Przez wieki przyprowadzano kapłankom Apollina takie dzieci, gdy chciano pozbyć się kłopotu. Większość z nich odprawiano z powrotem. Jedynie najbardziej odpowiednim dziewczętom pozwalano tu pozostać – musiały mieć smukłe członki, czyste spojrzenie i niezepsuty charakter. Apollo nigdy nie zaakceptowałby osoby bez odpowiednich przymiotów jako kapłanki wyroczni.

Zatem gdy tę delikatną jak gałązki wierzby dziewczynkę przedstawiono Pytii, wyrocznia ledwie na nią spojrzała. Dziecko było zaniedbane, ciemne włosy miało rozczochrane i skołtunione, a skóra nosiła ślady przebytej ospy. Gdzieś w głębi duszy Pytia jednak poczu-

ła, że w tym dziecku jest coś dziwnego. Może to przez to jej kiwanie się tam i z powrotem. Oczy dziecka wpatrywały się w przestrzeń, ale sprawiały wrażenie, że nic nie widzą.

Jej opiekunowie twierdzili, że była dotknięta przez bogów. Że umiała policzyć oliwki na drzewie, obrzucając je zaledwie jednym spojrzeniem. Że potrafiła określić, kiedy owca urodzi jagnię, nawet jej nie dotykając.

Te opowieści zaintrygowały Pytię. Zawołała dziewczynkę, by podeszła do wejścia do świątyni. Dziecko posłuchało polecenia, ale poruszało się bezwiednie, jakby w reakcji na podmuchy wiatru. Pytia musiała pociągnąć ją za ramię, by ta usiadła przy niej na najwyższym stopniu schodów.

– Jak na ciebie wołają? – zapytała.

– Na imię ma Anthea – odpowiedziało jedno z jej opiekunów, stojące u podnóża schodów.

– Antheo, czy wiesz, dlaczego cię tutaj przyprowadzono? – Pytia ze skupieniem wpatrywała się w dziecko.

– Twój dom jest pusty – wybełkotało dziecko, wbijając wzrok w ziemię.

Przynajmniej umie mówić. Pytia spojrzała do wnętrza świątyni. W palenisku głównej sali płonął ogień. Rzeczywiście w środku teraz nikogo nie było, ale zdawało się, że wyszeptane słowa dziecka mają zgoła głębsze znaczenie.

A może ona tylko tak się wyrażała. To było niezwykłe, takie odległe, jakby sama stała jedną nogą w jakimś innym świecie, poza otaczającą ich rzeczywistością.

Dziecko uniosło głowę i spojrzało na nią niebieskimi, niewinnymi oczami, które tak niezwykle kontrastowały z tym, co po chwili powiedziała.

– Jesteś już stara. Niedługo umrzesz.

Stojąca poniżej opiekunka dziecka próbowała je zganić, ale Pytia przemówiła miękkim głosem:

– Kiedyś wszyscy umrzemy, Antheo. Taka jest naturalna kolej rzeczy.

– Hebrajski chłopiec nigdy nie umrze – odparło dziecko, kręcąc głową.

Dziwne oczy wwiercały się w wyrocznię. Pytia poczuła, jak dostaje gęsiej skórki. To było oczywiste, że dziewczynkę uczono o kulcie Chrystusa i jego krwawej śmierci na krzyżu. Ale te jej słowa. Wypowiadane z taką mocą.

Hebrajski chłopiec…

Kiedyś jedna z poprzedniczek przepowiadała nadejście dnia Sądu Ostatecznego.

– Ale pojawi się jeszcze jeden – przemawiała dziewczynka. – Drugi chłopiec.

– Jeszcze jeden? – Pytia przysunęła się bliżej. – Kto? Skąd?

– Z moich snów. – Dziewczynka potarła koniuszek ucha.

Czując, że istnieją głębsze warstwy tej przepowiedni, Pytia postanowiła je poznać.

– Ten drugi chłopiec? Kim on jest?

Gdy zebrani ludzie usłyszeli następne słowa dziewczynki, z ich piersi wyrwało się westchnienie, bo nawet oni uznali te słowa za bluźniercze.

– On jest bratem hebrajskiego chłopca. – Dziecko przytuliło się mocno do rąbka szaty Pytii. – Płonie w moich snach… i on wszystko spali. Nic nie przetrwa. Nawet Rzym.

Przez cały uprzedni miesiąc wyrocznia usiłowała dowiedzieć się więcej o przeznaczeniu, nawet wciągnęła dziewczynkę do grona kapłanek. Ale dziecko jakby zamknęło się w sobie i stało się nieme. Nadal jednak istniał sposób na poznanie prawdy.

Jeśli dziewczynka była rzeczywiście obdarzona boskim błogosławieństwem, to moc oddechu Apolla – cudowne opary dające dar przepowiadania – mogła uwolnić to, co było zamknięte w umyśle dziewczynki.

Tylko czy starczy im czasu?

Poczuła, że ktoś dotyka jej łokcia, i to wyrwało ją z rozmyślań.

– Pani, słońce… – przypomniała jej młodsza kapłanka.

Pytia spojrzała na niebo, które na horyzoncie zaczęło rozbłyski-

wać światłami poranka, zwiastując wschód słońca. Ze stoku góry dobiegały pokrzykiwania legionistów. Najwyraźniej słowa dziewczynki odbiły się szerokim echem. Proroctwa o końcu świata rozchodziły się daleko… i dotarły do uszu samego cesarza. Cesarski posłaniec twierdził, że dziewczynka została opętana przez demona, i domagał się, by ją wydano i wysłano do Rzymu.

Pytia odmówiła. Bogowie zesłali jej tę dziewczynkę, przywiedli do świątyni Apollina. Nie porzuci tego dziecka bez wcześniejszego sprawdzenia jego wiarygodności.

Na wschodzie pierwsze promienie słońca zaczęły penetrować poranny nieboskłon.

Rozpoczynał się siódmy dzień siódmego miesiąca.

Kapłanki czekały na tę chwilę wystarczająco długo.

Pytia odwróciła się plecami do nadciągających legionistów.

– Chodźcie. Musimy się spieszyć.

Weszły do wnętrza świątyni. Tutaj też przywitały je płomienie, ale one dawały radosne ciepło powitania i wydobywały się ze świętego paleniska ku czci Apolla. Dwie starsze kapłanki dbały o podtrzymanie ognia, były jednak zbyt stare, by wspiąć się po skałach do jaskiń.

Pytia ukłoniła się każdej z nich, wyrażając swą wdzięczność, i w pośpiechu minęła święty ogień.

Na tyłach świątyni znajdowały się schody wiodące w dół do jej osobistego sanktuarium. Wstęp do podziemnego adytonu miały jedynie te kapłanki, które służyły bezpośrednio Pytii. Marmur zamienił się w surową skałę wapienną. Schody prowadziły do niewielkiej jaskini. Wieki temu odkrył to miejsce pasterz kóz, który zbliżając się do jej wylotu, poczuł oddech Apollina i pod wpływem jego słodkiej woni zaczął mieć dziwne objawienia.

Czy ten dar przetrwa do następnego ranka?

W środku jaskini czekała już na nią dziewczynka. Ubrana była w za dużą tunikę. Siedziała na ziemi ze skrzyżowanymi nogami obok trójnogu z brązu wspierającego omfalos – symbol pępka świata – umieszczony na wysokości bioder półokrągły kamień.

Poza nim jedyną inną dekorację jaskini stanowił trójnóg. Ustawiono go nad naturalnym pęknięciem w skale podłoża. Pytia, choć przyzwyczajona do oddechu Apolla, za każdym razem poddawała się czarowi oparów wydobywających się ze szczeliny, które przypominały zapach kwiatów migdałowca.

– Już czas – powiedziała do młodszej kapłanki, która zeszła za nią na dół. – Przyprowadź do mnie dziecko.

Pytia podeszła do zydla na trzech nogach i usiadła nad wydobywającymi się ze szczeliny oparami.

– Pospieszcie się.

Młodsza kapłanka przyprowadziła dziewczynkę i usadowiła na kolanach Pytii. Wyrocznia przytuliła ją delikatnie, jak matka tuli niemowlę, ale dziewczynka nie zareagowała najmniejszym ruchem.

Pytia już zaczęła odczuwać wpływ boskiego tchnienia wydobywającego się spod ziemi. Przeszedł ją znajomy dreszcz. Jej krtań ogrzewał oddech Apollina, gdy zaczął przenikać ciało. Utraciła wizję.

Ale dziecko było mniejsze, bardziej podatne na boskie tchnienie.

Głowa dziewczynki odchyliła się do tyłu; opadły jej powieki. Było oczywiste, że długo nie wytrzyma spowijającego ją oddechu Apolla. Jednak by wykorzystać ostatnią szansę, należało teraz wypytać dziewczynkę o szczegóły jej wizji.

– Dziecko – zaczęła Pytia. – Opowiedz nam więcej o tym chłopcu i o Sądzie Ostatecznym. Skąd on wyjdzie?

– Ze mnie. On powstanie z moich snów – wyszeptały drobne usta dziewczynki.

Jej delikatne palce odnalazły dłoń Pytii i zacisnęły się, usta nadal wypowiadały słowa.

– Twój dom jest pusty… twoje źródła wyschły. Ale popłynie nowe źródło proroctwa.

Ramiona Pytii mocniej przygarnęły dziewczynkę. Zdała sobie sprawę, że otaczające świątynię ruiny już od wielu lat zwiastowały koniec wyroczni.

– Nowe źródło. – W jej głosie zabrzmiała nadzieja. – Tu, w Delfach?

– Nie…

Oddech Pytii przyspieszył.

– Skąd wybije to źródło?

Usta dziewczynki poruszyły się, ale nie wydobyły się z nich żadne słowa. Wyrocznia potrząsnęła ciałem dziecka.

– Skąd?

Dziewczynka uniosła delikatne ramię i położyła dłoń na swoim brzuchu.

Ten ruch sprawił, że Pytia zaczęła mieć wizję srebrnych wód wychodzących z łona dziewczyny. Nowe źródło. Ale czy ta wizja pochodziła od Apolla, czy była wynikiem jej nadziei?

Krzyk zaburzył jej trans. Z oddali dobiegały podniesione głosy i wrzask. Na schodach pojawiła się jakaś postać. To jedna ze starszych sióstr, która pilnowała ognia. Przyciskała rękę do barku. Purpurowy kwiat rozkwitał pod jej dłonią. Spomiędzy palców wystawał czarny grot strzały.

– Za późno! – zawołała staruszka i padła na kolana. – Rzymianie…

Pytia usłyszała słowa kapłanki, ale wciąż była pod wpływem oparów. Pod powiekami widziała wody wypływające ze źródła w brzuchu dziewczyny, nową krynicę proroctwa. Wyczuła przebijający się przez boskie opary zapach dymu z rzymskich pochodni. Krew i dym przeniknęły do jej wizji. Srebrne źródło biło teraz także cienkim czarno-purpurowym strumykiem, który przelewał się w przyszłość.

Dziecko nagle stało się całkowicie bezwładne, otumanione oparami wydobywającymi się ze szczeliny w skale. Pytia nadal pogrążona była w swojej wizji; dostrzegła, że ten ciemny strumień zaczął materializować się w czarną postać… cień chłopca. Za nim widziała płomienie.

Przypomniała sobie słowa dziewczynki sprzed miesiąca.

On jest bratem hebrajskiego chłopca… wszystko spali.

Pytia podtrzymywała jej wiotkie ciało. Proroctwo dziecka dotyczące dni ostatnich dawało także nadzieję na wybawienie. Może faktycznie najlepiej byłoby przekazać małą w ręce Rzymian i w ten sposób zakończyć niepewną przyszłość tego miejsca. Głosy z wnętrza świątyni docierały echem do groty. Nie było już ucieczki. Jedynie w śmierć.

Nadal jednak miała wizję.

Apollo przysłał tu tę dziewczynkę. Przysłał ją Pytii.

Wybije nowe źródło.

Zaciągnęła się głęboko oddechem Apollina.

Co mamy czynić?

. . .

Centurion przeszedł główną salę. Miał konkretne rozkazy. Zabić dziewczynkę, która prorokowała o końcu cesarstwa. Uprzedniej nocy złapali służkę świątynną. Po obiciu jej batami – zanim darował ją żołnierzom, by się z nią zabawili – wyznała, że cudowne dziecko chowa się w świątyni.

– Dajcie tu pochodnie! – zawołał. – Przeszukajcie każdy kąt!

Poruszenie na końcu sali przykuło nagle jego uwagę, mocniej ścisnął rękojeść miecza.

Po schodkach, słaniając się, z cienia wyszła kobieta. Zrobiła dwa kroki w stronę światła i stanęła niepewnie, jakby czymś odurzona. Była odziana w białą szatę; na jej skroniach spoczywał wieniec z gałązek wawrzynu.

Zdał sobie sprawę, kim ona jest.

Wyrocznia z Delf.

Centurion zwalczył obawy. Jak wielu legionistów w tajemnicy czcił dawnych bogów. Nawet uczestniczył w zarzynaniu byków na cześć Mitry i kąpał się w ich krwi.

Wiedział jednak, że nadszedł zmierzch rzymskich bogów.

Nikt już nie mógł powstrzymać nowej wiary.

– Kto śmie naruszać spokój świątyni Apollina?! – zawołała kobieta.

Czując ciężkie spojrzenia swoich ludzi, centurion podszedł marszowym krokiem do kobiety.

– Wydaj nam dziecko – zażądał.

– Ona odeszła. Jest już poza waszą mocą.

Centurion wiedział, że to niemożliwe. Świątynia była przecież otoczona.

Obawa, że mogło być inaczej, pchała go do działania.

Wyrocznia zasłoniła swoim ciałem wejście na schody prowadzące do groty. Oparła dłonie na napierśniku legionisty.

– Mężczyźni mają zakaz wchodzenia do audytonu.

– Ale nie cesarz. A ja działam z jego rozkazu.

Wyrocznia nie ruszyła się z miejsca.

– Nie wejdziesz tam.

Rozkazy centuriona nosiły pieczęć cesarza Teodozjusza, a przekazał mu je syn władcy – Arkadiusz. Starzy bogowie mieli zamilknąć, a ich świątynie należało zburzyć. W całym cesarstwie. I w Delfach też. Centurion otrzymał jeszcze jedno polecenie.

I wiedział, że je wykona.

Aż po rękojeść wbił miecz w ciało wyroczni. Z westchnieniem padła mu w ramiona jak kochanka obejmująca swojego oblubieńca. Krew zbryzgała jego pancerz i podłogę.

Wyrocznia osunęła się na marmur i upadła na bok. Trzęsącą się dłoń umoczyła w kałuży własnej krwi.

– Nowe źródło… – wyszeptała, jakby była to jakaś obietnica.

Jej ciało zwiotczało i umarła.

Centurion przeszedł nad zwłokami i trzymając miecz przed sobą, ruszył po schodach do małej, ślepej jaskini. Zobaczył przebite strzałą zwłoki starej kapłanki leżące w kałuży krwi. Trójnogi zydel leżał przy niej na szczelinie w podłodze. Przeszukał dokładnie całą pieczarę.

To niemożliwe.

Grota była pusta.

Marzec 1959
Karpaty, Rumunia

Major Jurij Rajew wysiadł z wojskowej ciężarówki ZiS-151 i zeskoczył w wyżłobione koleiny polnej drogi. Nogi mu zadrżały. Dla złapania równowagi oparł się o zielone drzwi poobijanego zisa. Nie-

źle go wytrzęsło podczas tygodniowej wspinaczki w górach, aż poczuł ból w kręgosłupie. Wydawało mu się, że od tej jazdy nawet zęby trzonowe poluzowały mu się w szczęce. Ale jedynie tej terenowej ciężarówce, która dzielnie spisywała się na kamienistych serpentynach i przemienionych w potoki górskich traktach, zawdzięczał dotarcie do odizolowanego od świata zimowego obozu.

Spojrzał przez ramię, gdy otwarły się tylne drzwi i żołnierze w czarno-białych mundurach zaczęli wyskakiwać z wozu. Zimowe kombinezony doskonale maskowały ich sylwetki na tle ośnieżonych granitowych skał w porośniętych lasem górach. Poranna mgła nadal stała w zagłębieniach terenu, przypominając ponure duchy.

Mężczyźni przeklinali i przytupywali. Co chwila któryś gasił na ziemi papierosa. Słychać było szczęk zamków kałasznikowów. Żołnierze stanowili tylną straż, której zadaniem było odpędzanie ciekawskich.

Jurij podniósł wzrok, gdy podszedł do niego jego zastępca, porucznik Dobricki. Był dobrze zbudowanym Ukraińcem ze śladami po ospie na twarzy i złamanym nosem i jak pozostali żołnierze miał na sobie zimowy strój maskujący. Czerwone krążki wokół oczu zdradzały, że jeszcze przed chwilą nosił gogle.

– Towarzyszu majorze, melduję, że obóz jest zabezpieczony.

– Czy to ich szukamy?

Dobricki wzruszył ramionami, pozostawiając Jurijowi osąd. Już raz po fałszywym alarmie wpadli do zimowego obozu na wpół zagłodzonych wieśniaków, którzy ledwo wiązali koniec z końcem, pracując w kamieniołomie.

Mieszkańcy tych gór byli jak z innej epoki, może kamiennej, zacofani, zabobonni i biedni. Porośnięte lasami urwiste zbocza dawały doskonałe schronienie tym, którzy chcieli pozostać w ukryciu.

Zszedł na bok i zaczął przypatrywać się śladom pozostawionym na górskiej drodze. Błoto i śnieg ugniecione zostały w koleiny przez pojazdy szpicy oddziału. Przez drzewa dostrzegł grupę motocykli IMZ-Ural z koszami, w których siedzieli uzbrojeni żołnierze. Cięż-

kie motory wypuszczono wcześniej, by zabezpieczyły teren, odcinając wszelkie możliwe drogi ucieczki.

Do tego odległego miejsca przywiodły ich plotki i wymuszone torturami zeznania. Mimo posiadanych informacji i tak musieli zasięgnąć języka po drodze. W tym celu spalili kilka domostw, by ich mieszkańcy nabrali chęci do mówienia. Nikt nie chciał opowiadać o karpackich Cyganach. Bano się tego odizolowanego klanu ze względu na historie o *strigoi* i *moroi* – strzygach i czarownicach.

Czy wreszcie ich odnalazł?

Porucznik Dobricki zaszurał butami.

– Co robimy, towarzyszu majorze?

Uwagę Jurija zwrócił cierpki ton Ukraińca. Chociaż służył w randze majora w radzieckiej armii, nie był żołnierzem z powołania. Był o głowę niższy od Dobrickiego, miał niewielki brzuszek i dość okrągłą twarz. Ściągnięto go do wojska wprost z Uniwersytetu Leningradzkiego, a awansował dzięki pracy naukowej dla armii. W wieku dwudziestu ośmiu lat był szefem laboratorium biofizyki w Państwowym Instytucie Badań Medycznych i Przyrodniczych.

– Gdzie jest kapitan Martowa? – zapytał Jurij. Martowa, oficer wywiadu, rzadko oddalała się od boku porucznika; starała się widzieć i słyszeć wszystko.

– Czeka na nas przy wejściu do obozu.

Dobricki ruszył z mozołem środkiem drogi. Jurij zdecydował się iść bokiem, gdzie grunt był nadal zamarznięty. Po dojściu do ostatniej serpentyny porucznik wskazał na obóz schowany pod stromą granią i osłonięty ciemnym borem.

– Cyganie – mruknął Dobricki. – Tak jak sobie towarzysz życzył, *da*?

Ale czy to jest ten właściwy klan? – zastanawiał się major.

Przed nimi stały tabory pomalowane na zielono i czarno, a ich koła sięgały głowy Jurija. W niektórych miejscach farba się łuszczyła, odsłaniając jaskrawsze kolory będące pamiątką po radośniejszych czasach. Wysokie drewniane wozy były zasypane śniegiem, a ich dachy otoczone wianuszkami sopli. Okna pokrywał szron. Czarne

miejsca na ziemi znaczyły ślady dawnych ognisk. W głębi obozu paliły się jeszcze dwa ogniska, a płomienie strzelały ponad najwyższy wóz. Obok stał spalony wóz, przy którym konie pociągowe zwieszały łby nad korytami zbitymi z resztek ocalałych z pożaru desek. Po obozie włóczyły się ospale kozy i kilka owiec.

Żołnierze otoczyli cały obóz. W paru miejscach leżały ciała odziane w stare szmaty i futrzane kurty. Pozostali przy życiu wyglądali trochę lepiej. Mieszkańcy obozu zostali wyciągnięci z wozów mieszkalnych i namiotów.

Krzyki dobiegające z głębi obozu świadczyły o tym, że spędzano już ostatnich Cyganów. Ktoś puścił serię z kałasznikowa. Jurij przypatrywał się stłoczonym Cyganom, w których oczach dostrzegł zaciętość. Część kobiet klęczała i łkała. Mężczyźni o ciemnych twarzach zdążyli już poznać siłę intruzów; wielu z nich było rannych; kilku miało połamane kończyny.

– Gdzie są wszystkie dzieci? – zapytał Jurij.

Odpowiedź dobiegła zza jego pleców.

– Zabarykadowane w kościele.

Jurij odwrócił się i zobaczył kapitan Sawinę Martową. Chowała twarz pod kapturem obszytym futrem. Jej ciemne włosy pasowały do futra rosyjskiego czarnego wilka, którym obszyty był kaptur.

Wyciągnęła szczupłe ramię w kierunku budynku stojącego za wozami taboru. Kościółek wybudowany z górskiego kamienia zlewał się z otaczającymi go skałami.

– Dzieci zebrały się tam, zanim się tu pojawiliśmy – wyjaśniła Sawina.

– Musieli usłyszeć motocykle. – Dobricki kiwnął głową.

Sawina i Jurij popatrzyli na siebie. W jej zielonych oczach tańczyło poranne słońce. Pochłonięta była własnymi rozmyślaniami. To ona dostarczyła do instytutu, w którym pracował Jurij, teczkę z dokumentami naukowymi, zawierającą notatki i informacje z Auschwitz-Birkenau, dotyczące głównie pracy doktora Josefa Mengele, zwanego w tym obozie koncentracyjnym Aniołem Śmierci.

Jurij miał kilka koszmarów sennych po zapoznaniu się z dostarczonym materiałem. Doktor Mengele przeprowadzał wiele okrutnych doświadczeń na więźniach obozu. Ten naukowiec potwór najbardziej upodobał sobie Cyganów, a szczególnie ich dzieci. Rozpieszczał je słodyczami i czekoladkami. Dzieci zaczęły nazywać go Wujek Pepe. Robił to wszystko, by je trochę zjednać. W końcu i tak wszystkie uśmiercił, ale dopiero jak odnalazł wśród nich szczególną parę cygańskich bliźniąt.

Jednojajowe bliźnięta, dziewczynki – Sasza i Mina.

Jurij czytał te sprawozdania z mieszaniną fascynacji i przerażenia.

Mengele sporządził skrupulatne notatki dotyczące tych niezwykłych bliźniąt: ich wiek, historię rodziny, rodowód. Torturował rodzinę i krewnych dziewczynek, by wydobyć od nich więcej szczegółów, które później sprawdzał. Mengele przyspieszył tok swoich badań. Lecz gdy zbliżał się koniec wojny, musiał przedwcześnie zakończyć wszelkie testy. Zabił obydwie dziewczynki, wstrzykując im fenol w serce.

Mengele wyraził swoją żałość w zapiskach.

Wenn ich nur mehr Zeit hätte…

Gdybym miał tylko więcej czasu…

– Jesteś gotowy? – zapytała Sawina.

Jurij skinął głową.

W towarzystwie Dobrickiego i jeszcze jednego żołnierza udali się do obozu. Jurij przeszedł nad zwłokami, leżącymi twarzą do ziemi w kałuży zamarzniętej krwi.

Kościół wznosił się przed nimi. Kamienna budowla nie miała żadnych okien. Jedyne drzwi wiodące do środka były zamknięte. Zrobione zostały z grubo ciosanych belek z twardego drewna z mocnymi okuciami z miedzi. Budynek wyglądał bardziej jak forteca niż świątynia.

Dwaj żołnierze stanęli przy drzwiach ze stalowym taranem.

Dobricki spojrzał na Jurija.

Ten skinął głową.

– Rozwalić – polecił porucznik.

Żołnierze rozbujali taran. Drewno wytrzymało tylko trzy uderzenia. Drzwi puściły i rozwarły się z hukiem.

Jurij wszedł do środka tuż za Sawiną.

Małe lampy naftowe rozświetlały ciemne wnętrze. Rzędy ławek po obu stronach wiodły do ołtarza na podwyższeniu. W ławkach w dziwnym milczeniu kuliły się dzieci w różnym wieku.

Idąc w stronę ołtarza, Jurij przyglądał się dzieciom. Wiele z nich miało mikrocefalię, zajęczą wargę lub było karłami. Jedno dziecko nie miało zupełnie ramion. To wynik kojarzenia krewniaczego, pomyślał Jurij i wzdrygnął się z odrazą. Nic dziwnego, że okoliczni wieśniacy bali się Cyganów i powtarzali historie o duchach i potworach.

– Skąd mamy wiedzieć, że to są właściwe dzieci? – zapytała Sawina z widoczną odrazą w głosie. Jurij zacytował zdanie z zeznań wymuszonych torturami przez doktora Mengele: „Legowisko wróżek". To tutaj urodziły się bliźniaczki i to był sekret utrzymywany przez Cyganów powracających w te strony.

– Czy to te dzieci? – naciskała Sawina.

– Skąd mam wiedzieć? – Jurij pokręcił głową.

Szedł dalej w kierunku dziewczynki siedzącej przy ołtarzu. Przyciskała do siebie szmacianą lalkę, choć jej własny ubiór był niewiele lepszy od szmatek lalki. Gdy Jurij się zbliżył, dostrzegł, że na pierwszy rzut oka dziewczynka była doskonała, pozbawiona wszelkich deformacji. W przyćmionym świetle błyszczały jej krystalicznie czyste niebieskie oczy.

To było tak rzadkie zjawisko u Cyganów.

Zupełnie jak bliźniaczki, Sasza i Mina.

Jurij uklęknął przed dziewczynką. Wydawało się, że ona wcale go nie dostrzega, jakby patrzyła przez niego. Wyczuł, że dziewczynkę dotknęło coś dziwnego, prawdopodobnie gorszego niż deformacja widoczna u pozostałych dzieci.

Choć jej wzrok nie skupił się na nim nawet na moment, wyciągnęła w jego kierunku rękę.

– *Unchi Pepe* – wysepleniła po romsku.

Jurij poczuł dreszcz grozy. Wujek Pepe. Tak dzieci mówiły na doktora Mengele. Tego określenia używały wszystkie cygańskie dzieci. Ale te tutaj były za młode, żeby przebywać w obozie koncentracyjnym.

Spoglądał w jej patrzące w pustkę oczy. Czy dziewczynka wiedziała, co Jurij i jego zespół zamierzali zrobić? Niby skąd miałaby wiedzieć? Mimo to wciąż do niego wracały słowa doktora Mengele:

Gdybym tylko miał więcej czasu…

To już nie jego zmartwienie. Jego zespół dostanie tyle czasu, ile będzie potrzebował. Laboratorium już budowano. Z dala od wścibskich.

Podeszła Sawina. Chciała usłyszeć odpowiedź.

Jurij znał prawdę, odkąd tylko spojrzał w oczy dziewczynki, ale nadal się wahał.

Sawina trąciła go w ramię.

– Towarzyszu majorze?

Nie było dla niego odwrotu, więc Jurij skinął głową, zgadzając się na horror, który miał nastąpić.

– *Da*, to te wróżki.

– Jest pan pewien?

Jeszcze raz skinął głową, wciąż wpatrując się w oczy dziewczynki. Ledwo usłyszał, jak Sawina wydaje rozkaz Dobrickiemu:

– Załadujcie wszystkie dzieci do ciężarówek. Pozostałych zabijcie.

Jurij nie odwołał tego rozkazu. Zdawał sobie sprawę, po co tutaj przyjechali.

Dziewczynka nadal wyciągała do niego rękę.

– *Unchi Pepe* – powtórzyła.

Wziął jej drobne palce w swoją dłoń. Nie mógł zaprzeczyć, nie miał odwrotu.

Tak. To ja.